

W. B.
im.
L. W.
Łódź

Cena 1 zł

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI

nr 34

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 19 października 1958 r.

Nasza szkółka

KOBIETA

(w średnim wieku)

I JA

Nie wiem dlaczego arcy-po-
mysłowy „Przekrój” nigdy
jeszcze nie ogłosił takiego
testu: „Notuj przez jedną go-
dzinę skojarzenia myślowe.
Podaj co z czym Ci się koja-
rzyło, tj. jak błędy i nastę-
powwały po sobie myśli a po-
wiemy wszystko o Tobie i o-
taczającym Cię świecie”.

Podałem się takiemu tes-
towi mimo woli. Jadę tram-
wajem. Na przystanku wsia-
da ksiądz w średnim wieku.
Kobieta również w średnim
wieku zrywa się z ławki i u-
siępuje mu miejsce.

Moje myśli po zarejestro-
waniu wzrokiem i myślą tej
sceny układały się jak na-
stępują:

1) W pewnym miasteczku,
w szpitalu „odchodził” han-
del żywym towarem. To jest
handel niemowlętami. Pacz-
ka bab — pracownicy szpita-
la namawiała matki (głównie
matki tzw. nieślubnych dzie-
ci) do oddania ich na zaw-
sze ludziom bezdzielnym,
którzy zgłaszali się do pośred-
niczek deklarując chęć a-
doptowania niemowlęcia.
Matki takie otrzymywały so-
wile wynagrodzenie, a i po-
średniczki nieźle się obławia-
ły.

Mój przyjaciel, wpadłszy
na trop sprawy, łącznie z mi-
licją podjął jej badanie. Kie-
dy dochodzenie było już za-
awansowane okazało się, iż
jest ono bezcelowe, gdyż po-
średniczenie w handlu dzie-
mi nie jest karalne.

Kodeks karny przewiduje
sankcje tylko za „oddawanie
innej osoby w stan niewol-
nictwa”, „handel niewolni-
kami” itd. Pomimo że o żad-
nym niewolnictwie nie ma
tu mowy istnieje w Polsce
wojny rynek dla handlu
dziećmi. Interesujące.

2) Istnieje też w naszej
Polsce nie tylko ustawa ale
i precedens karania więzie-
niem ludzi, dokonujących
nielegalnych zabiegów prze-
rywania ciąży. Procesów ta-
kich jest jednak bardzo ma-
ło. Można przypuścić, iż roze-
nie w naszym kraju dokonu-
je się nielegalnych sztucz-
nych poronień w ilości sięga-
jącej setek tysięcy. Z uwagi
na nikłe możliwości wykry-
wania tych przypadków (so-
lidarność pacjentek z leka-
rzem, lekarzy między sobą
itd.) procesów na tym tle jest
kilkę, czy kilkanaście w cią-
gu roku, ale z zasady doty-
czą one tzw. „babek” nie le-
karzy i to w obliczu wypad-
ków śmiertelnych. Ten stan
rzeczy nie jest bynajmniej
zły z punktu widzenia spo-
łecznych interesów w dzie-

zynie populacji, jest nato-
miast zły z punktu widzenia
interesów ludzkiego zdrowia
(„babki” grasują, kobiety
umierają). Jednocześnie nie
istnieje precedens karania
lekarzy za odmawianie do-
konywania oficjalnych za-
biegów przerywania ciąży ko-
bietom, którym z uwagi na
ich warunki życiowe i z racji

DOKOŃ-
CZENIE
NA STR.

2

JERZY URBANKIEWICZ

NA BEZRYBIU IRAK RYBA

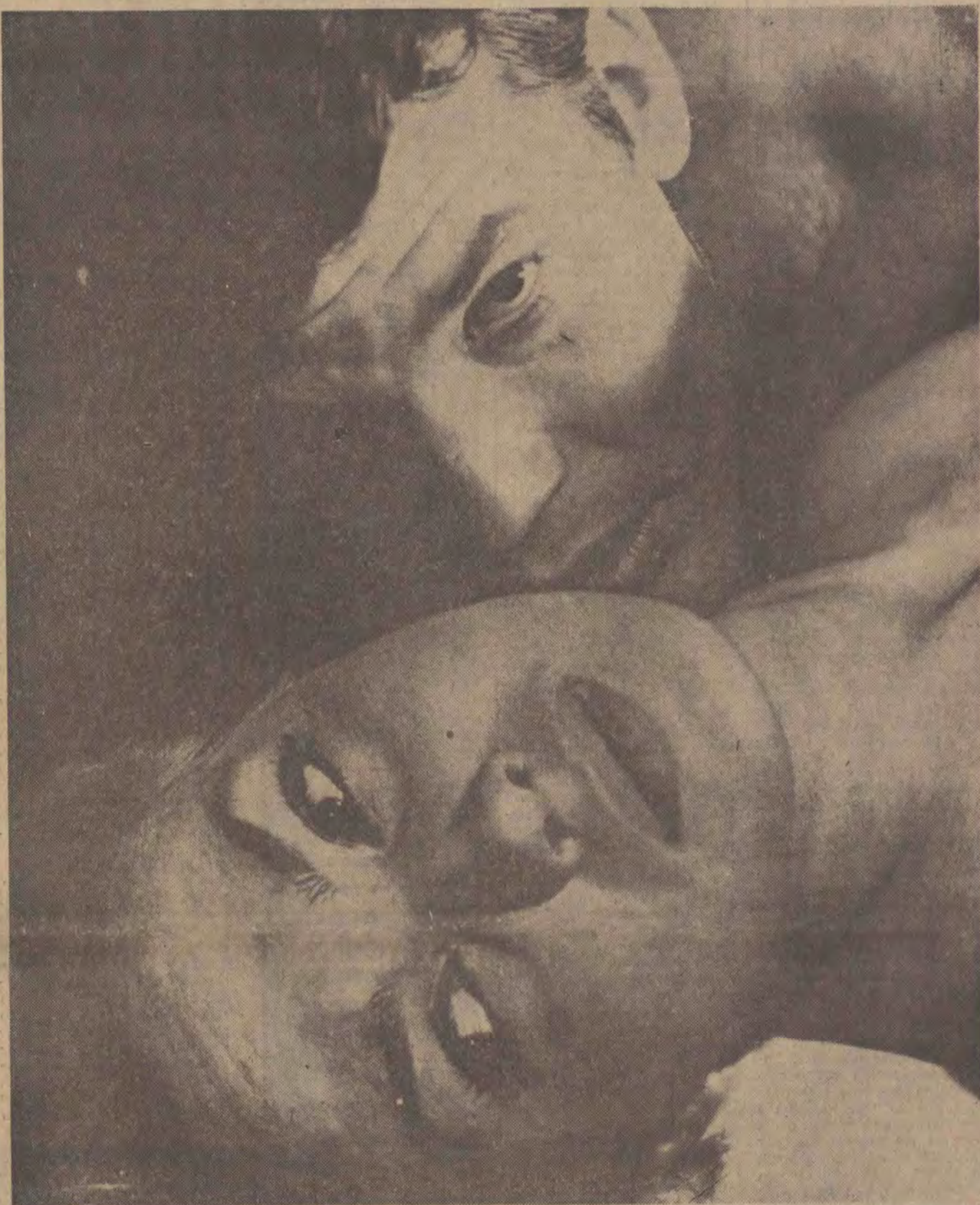
Londyn — wrzesień

Miniaturowa estrada, niewielka widownia.
Publiczność przeważnie siwa, szpakowa-
ta, łysiejąca lub wylysiała. Sala nabita
szczelnie nie mieści wszystkich chę-
tnych. Trzy zwisające z sufitu reflektory tworzą
ruchome plamy na czerwonym aksamicie kur-
tyny.

Zza jej fałd wychodzi postać niemłodego kon-
feransjera. Znają go tu i on zna publiczność,
słychać głośnie uwagi na temat padających
z estrady dowcipów. Atmosfera jak wszędzie
tam, gdzie środowisko jest dość małe na to, by
się spotykać przy wielu okazjach. Wreszcie po-
czątek.

Stół, polska wódka eks-
portowa i dwóch pijanych
rodaków. Na kanwie spraw
emigracyjnych skarykatu-
rowana tęsknota, pijana tę-
sknota, która wiedzie na wy-
cieczkę do kraju. A tam —
znów tęsknota za... Londy-

POPIÓŁ I DIAMENT



Należy do zwyczaju na-
szej publicystyki fil-
mowej owo znane, skrze-
tne ogłaszanie, iż ten
lub inny obraz otworzył „no-
wą kartę” w historii rodzi-
mego kina. Tak było przy o-
kazji „Kanału”, „Erolki” (bie-
dnej „Erolki”, na arcyzmie
której nie poznała się komi-
sia balożażowa ostatniego fe-
stiwalu w Wenecji), a teraz
lada dzień podniosą się śpie-
wy głoszące hosannę z oka-
zji filmu „Popiół i diament”.
Spieszę zapewnić, że będę o-
statnim, który przyłączy się
do chóru. Nie wierzę bowiem
w pisane mity, a niestety
tkwi zarazem w moim głębo-
kim przekonaniu absolutna
bezpředensowość tego wy-
darzenia, która sprzeciwia
się wszelkiemu opartemu oń
rokowaniu na kredyt.

Weźmy choćby pod rozwa-
gę ten film li tylko jako a-
daptację znanej powieści An-
drzejewskiego. Filmowy „Po-
piół i diament” jest przykła-
dem zarówno rozsądku jak i u-
miaru kierującego linią zmian,
poczynionych w stosunku do
pierwowzoru. Film nie za-
warł w sobie (jak na przy-
kład uczyniły to „Pożegna-
nia”) lepszych fragmentów
książki, żeby je zilustrować
za pomocą ruchomych obraz-
ków, ale prezentuje mate-
riał wybrany z troską o o-
gólną ideę dzieła, przy je-
dnoczesnej uwadze, by stało
się zadość potrzebom i wła-
ściwościom ekranu. Filmo-
wy „Popiół i diament” wy-

EDWARD ETLER

zhyty jest pobocznych wą-
tków. Znalazł w powieści An-
drzejewskiego jej nowy sens
ideowy i artystyczny — sens
niejazyki i zatarty w kształ-
cie literackim, gdzie przytło-
czony był przez epizodyczne
wydarzenia i udział margi-
nesowych postaci. Tak w o-
statecznym rachunku słusze
okazało się pójście na powa-
żną rezygnację. Rezultat: nie
ma chyba najgorzalszego
entuzjasty książki, który by
czuł się rozczarowany i za-
wiedziony w swoich oczeki-
waniach.

Jest więc „Popiół i dia-
ment” przykładem doskona-
łej adaptacji. Czy wpłynęło
jednak na jakość artystycz-
ną przyjętej w naszym kra-
ju metody adaptowania u-
tworów literackich? Czy „Po-
piół i diament” wywrze swój
wpływ na rzeczy, które nie
wyjdą spod ręki Wajdy i An-

DALSZY
CIĄG
NA STR.

3

DALSZY
CIĄG
na str.

12

NA BEZRYBIU IRAK RYBA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

po miesiącu słyszy: „Dzień dobry, poręczniku”.

A oto emigracja od tej strony, którą nam zawsze pokazuje prasa krajowa: skecz, oparty na faktach, że jedna z Polek wygrała w angielskiej loterii 95 tys. funtów. Przychodzą do niej przedstawiciele trzech emigracyjnych „rządów” i centrów i proponują wysokie odznaczenia za... zwrotem kosztów. Też wysokich. Następnie licytacja między przedstawicielami „rządów”. 95 tysięcy miałyby przepaść w kieszeniach zachłanych liderów, ale jakiś deus ex machina je ratuje.

Był to więc kropka w kropkę taki obraz emigracji, jaki często spotykamy w naszej, krajowej prasie. Ale ta ostatnia widzi jednostronnie śmieszność i tragizm pewnych ludzi, podczas gdy ja, oglądając rewię „Na bezrybiu Irak ryba”, dojrzałem trochę więcej. Rewia ta idzie w Londynie w domu Ogniska Polskiego.

By być obiektywniejszym, trzeba dojrzeć zespół aktorów i kpiacy z pewnej kategorii emigrantów i śmiejącą się widownię.

Oto notatka z londyńskiego „Dziennika Polskiego”.

PODSŁUCHANE

PLK BYPL ALF-
KSANDER RU-
CHAJ, osiadł w Edynburgu, powołując się na nchwałę „Rady Ministrów” (z Eaton Place) i „rozkaz” generała Tokarzewskiego, ministra spraw wojskowych, zaciągnął w Edynburgu nową organizację b. wojskowych pod nazwą Związek Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Na zebranie organizacyjne przybyło aż 11 osób! Czyli że plk. Ruchaj, gdyby chciał mógłby złożyć nawet drużynę piłki nożnej. Jaką np. „Gwiazdę Zamku” na podobieństwo zwycięskiej drużyny z Cannock — „Gwiazdy Gdyni”.

Za tak wielki sukces należała się odpowiednia nagroda. Nie więc dziwnego, że plk. Ruchaj, dowódca meżnej jednostki z Edynburga mianowany został — generałem!

BYWAŁEC

Są w Anglii jeszcze większe centra, rządy i zarządy. Jeśli jednak przeciętnego polskiego emigranta zapytać, w jakim stopniu jest zainteresowany w istnieniu np. stanowiska prezydenta (b. minister Zaleski) to zazwyczaj słyszy się, że zajętego własną egzystencją emigranta sprawy te ani ziębie ani parzą. Wie się o nich, bo przecież dotyczy to rodaków.

Stąd śmiech w sali „Ogniska”. Stąd niepotrzebne rozmuchiwanie tych spraw w prasie krajowej, bo obraz jest inny niż na jej podstawie można sobie wyrobić.

Na maleńkiej estradze Tola Mankiewiczówna z pieśnią Sygetyńskiego i Hemara o Warszawie. Bliska szlochowi cisza, burza oklasków.

Bo to — Warszawa, którą z nich każdy nosi w sercu. Bo to Mankiewiczówna, która się pamięta z przedwojennych filmów. A każdy dzień pobytu w Londynie potwierdza myśl, że ci siwi lub łysi, których losy rzuciły na skraj miasta, to ludzie, odwracający głowę od dnia jutrzejszego a dyszący chęciwie atmosferą lat swej młodości, którą wojna odcięła od dziś i jutra tak bezwzględnie. A więc przeżywają wszystko, co jest w stylu „Morskiego Oka” czy „Qui pro quo”. Kupili bilety na wszystkie występy „Mazowsza” i każdy oblał rzewnymi łzami. Co im do Zaleskiego, co im do plk. Ruchaja!

Ale Mankiewiczówna znika, nikną nieostre obrazy tej nowej, nieznanej Warszawy. Hemar zapowiada nowy numer: „Parnelowsze”. Każdy numer tej rewii każe myśleć. Każdy jest symptomem czegoś, każdy zaszyfrowaną prawdą o czymś, co się chce pokazać, a czasem ukryć.

„Parnelowsze” to parodia występu „Parnella”. Wysoka postać aktora Zięciakiewicza przypomina Parnella w roli św. Franciszka. Tanczące ruchy jego rąk przechodzą w gimnastykę, zwalczony szatan pada na deski i zmartwychwstaje na dźwięk mazura („podskoczyłby jeszcze”) i wreszcie w mieszaninę te włącza się Faun i sześćdziesięcioletnia aktorka Oleńska uniesiona ku górze, niby p. Lapińska w swoim tańcu.

Uśmiełem się do rozpuku z tej parodii i uwiozłbym to wrażenie do kraju, gdyby nie wiersz, który zamknął „Parnelowsze”: Wiersz o ta-

(Dokończenie na str. 8)



Tekst: LESZEK WITCZAK
Zdjęcia: S. MICHAŁOWSKI

Jest miasteczko...

Nie mam zbytniego zaufania do wesołych miasteczek. A szczególnie do tego, które bawiło do niedawna na Placu Niepodległości. (Obecnie przeprowadziło się na Bałuty).

Bo te karuzele, diabelskie młyny, panie, to wprost oszłamiające — mówił mi pewien opiekun wykołonej młodzieży. — Zdarzy się, że dziewczyna wyjdzie wieczorem do wesołego miasteczka i nie wróci do domu jak za dwa dni, taka jest oszłamiona. Potem oddają ją pod moją opiekę, bo wpadła w złe towarzystwo. I wierz jej, czlowieku, że tam same miłe dzieci i strasznie wesoło.

Owe niebezpieczne oszłamienia zmagazynowane są na przechodnim placu, tuż za Bałuckim Rynkiem. Czy spodziewałem się, że znajdzie tam taki ładny kawałek lirycznego towaru, ach, jakiego towaru... Redaktor czytając reportaż ma lzy w oczach i ze wzruszenia może tylko wymówić: ryczałt, ryczałt daję autorowi!... A autor? Autor tak sobie na razie marzy i również jest wzruszony.

A zaczęło się klepsko. Podeszło do mnie dwóch niedorostków z ufalpanymi na mokro włosami. Spuszczają oczy i mówią:

— Pani, ojciec nasz w dzień i w noc przychodzi pijany, katuje matkę, w domu jest czworo małych dzieci, daj 2 zł, chcemy się zabawić.

Mówiłby dalej, ale skierowałem ich do tegiej pani w słomkowym kapeluszu. Widocznie zrobili przy okazji jakąś aluzję do mnie, bo dając im 5 złotych informowała sąsiadów, że ludzie dziś serca nie mają dla biednych dzieci, a u niej nie ma różnicy, swoje dziecko czy cudze.

Na to dwumetrowy kapral z tłumu machnął ręką:

— Proszę madam, takich „biednych” dzieci koszyk by tu pani nazbierała, kręca się koło każdej huśtawki i strzelnicy; potem zjedzą się pod jakimś murkiem obciążając „półsiódki” za 14 zł. Jakbym ja tego nie robił, to bym nie mówił.

— A pan się zamiem na kamforę i zniknij — do brze? — oburzył się słomkowy kapelusz.

— Pani sobie lepiej na rynku głowę na kapusie zamień i podlewaj ranna rosa, będzie lepiej kwitła pod tą słomą.

Część ludzi odrywa się od innych atrakcji i otacza kobietę i żołnierza. Nigdy nie można przewidzieć, czy nie będzie jakiejś większej awantury.

Ponieważ komuś zgineło nagle 100 zł z kieszeni, ciekawa wymiana zdań została zakończona.

A ja zastanawiam się tymczasem, czy ten tłum dlatego przypomina zwariowaną kwaciarnię, że dziewczęta to w ogóle jak kwiaty, czy dlatego, że zbyt jaskrawo ubrane i wymalowane? Zawsze to kawałek od śródmieścia, gusty już nie te.

Najwięcej dziewcząt koło niedużej budy cyrkowej z napisem: „Gabinet śmiechu” (snaż kobiety od lustra nie odciągniesz, choćby było krzywe) i pod diabelskim młynem. Stoją po dwie, trzy i w grupkach, rozmarzone fokstrotkami pływającymi z głośników, czekają aż podejdzie jakiś chłopiec, powie parę głupstw, zafunduje...

Ale bałucy elegancl w nylonowych koszulach i podwójnie szytych zamszo-



wych butach, lekceważą raczej te taniutko ubrane dziewczęta, które się umalowało jeszcze nie potrafiła. Cóż im takie „szmalcówki”, kiedy oni mają lale w sztyfonach przejrzystych jak chmurki z biodrami niczym księżyc na pełnię.

A dziewczętka jakże zardroszczą parkom wychodzącym z pękającego od śmiechów gabinetu luster! Albo wirującym na diabelskim młynie, niezadko czule objętym w górę (jeśli chłopiec nie miewa zawrotów głowy i umie wykorzystywać sytuację).

Sam kilka razy łapałem pełne nadziei spojrzenia tych dziewcząt; w nowym garniturze wyglądam co najmniej na 50 złotych. Jak to pozory mylą!

Koło żelaznej kolejki, którą popycha się po torze z kolejnymi napisami: „kobieca siła” — „męska siła” — „rzut na księżyc”, spotykam „znajomą twarz”. Jest to złodziej, którego widziałem niedławnie w jakimś zamieszaniu na Bałuckim Rynku.

Patrzy na zabawiających się ludzi z tak smutną miną, jakby rozważał sobie:

— Cholera, dzień świąteczny, uroczysty, to i ukraść nie wypada.

Przechodzę na strzelnicę. Ludzi tu bardzo dużo, strzelających mało. Jeden strzał do papierowego kwiatu na szklanej lodyzce — 2 zł. Do pysznego wachlarza w papuzich kolorach aż 3 zł. Po trafieniu w cieniutką szklaną rurkę otrzymuje się 10 kwiatów lub wachlarze w nagrodę.

Wreszcie znalazł się chętny, niewysoki młodzieniec z dziewczyną w sukience kolorowej tak krzykliwie, jakby chciała zagłuszyć kolejkę na księżyc, głośnikowe fokstrotty, a nawet diabelski młyn.

Ona uśmiechała się to do niego, to do kwiatów, a on biorąc wiatrówkę robił „oko” do publiki, co musiało według niego „ładnie” wyglądać.

— Mój Boże, ty nie tra-

(Dokończenie na str. 9)



Final londyńskiej rewii, w środku Tola Mankiewiczówna



KOR- SARZ

POŁUDNIOWEGO ATLANTYKU

JERZY ŁANCUT

„Sorry” — to słowo od pół godziny niepodzielnie panowało na niezliczonych korytarzach wielkiego gmachu, w którym mijali się w biegu zaferowani oficerowie, wpadali na siebie, wzajemnie się potrącając, kierując się ku szerokim, obitym skórą drzwiom.

Na stole, wśród rozrzuconych map morskich, stało kilka po brzegi wypełnionych popielniczek. Gęsty obłok dymu papierosowego zalegał olbrzymi gabinet. Dwaj mężczyźni w admirałskich mundurach siedzieli naprzeciw siebie w głębokich fotelach. U nóg ich widać się dziesiątki metrów taśmy telegraficznej. Słuchali w tej chwili meldunku stojącego przed nimi oficera. Gdy skończył, starszy wiekiem z siedzących powiedział spokojnie.

— Dziękuję, kapitanie. Niestety, niewiele nam to wyjaśnia. Proszę jeszcze raz kablować do admiralacji. Niech odpowiedzą zdecydowanie i krótko: tak lub nie!

— Niesłychana historia — odezwał się po wyjściu oficera drugi z admirałów. — Przeszło rok go szukamy, a on, w Londynie, jak gdyby pierwszy raz o tym słyszał. Doprawdy szokujące...

— Rzeczywiście szokujące. Przecież w maju 1940 r. nasz „Scientist” pierwszy raz doniósł o nim. Tragicznie... A później poszła cała seria. No i dziś...

— Jesteś pewny, że to jego właśnie trzyma „Devonshire”?

— Prawie, mój drogi... Prawie — powtórzył dowódca południowego Atlantyku. — Dlatego też kabluje.

Obaj zapalili papierosy. W gabinecie zapanowała cisza. Tylko miarowe tykanie dużego, stojącego zegara, odmierzającego czas.

Lapidarny w swej treści telegram wcale nie zdziwił kapitana niemieckiej marynarki wojennej, Bernarda Rogge.

Wojna — myślał, siedząc w godzine po otrzymaniu telegramu w fotelu samolotu — wyręcza nas, wojakowych, z potrzeby zastanawiania się nad przyczynami tego rodzaju wezwań. I to

samouspokojenie pozwoliło mu obojętnie przyglądać się klebiastym chmurom, wśród których leciał samolot.

Późnym wieczorem wprowadzono go do gabinetu Hitlera. U progu wyrzucił prawą rękę w górę, szczerkał „hell” i dopiero wówczas wypreżony na baczność spojrzął na osoby znajdujące się w pokoju. Rozpoznał wszystkich: oto pobrzękujący oficerami grubas o krótkiej szyi — marszałek Goering, oto pokraczna figura ministra propagandy Goebbelsa, tuż przy nim, schowany za olbrzymim biurkiem fuchrer, nerwowo lyskający oczami, a w fotelu przed biurkiem admirał Doenitz.

Rozpoczął Hitler. Mówił — jak zwykle — urywanymi zdaniami.

— III Rzesza musi zapanować nad wszystkimi oceanami. Nie tylko wokół An-

stapilo spotkanie z „Commissairem”.

Był to statek pasażerski o wyporności 10 tys. ton., zarekwirowany dla celów wojennych. Dowodził nim Australijczyk — kpt. Hood.

Początek akcji był normalny — nadano sygnał zastopowania maszyn. Hood nie miał najmniejszej wątpliwości, z kim ma do czynienia. Oto oko w oko stanął z głośnym piratem. Nie chciał jednak zrezygnować z próby obrony. Rozpoczął manewr i jednocześnie uruchomił radiostację. Popłynęły w eter błagalne sygnały o ratunek. W tym momencie Hood postanowił pójść na taran. Coś w rodzaju „crossing the T” — pomyślał — tylko, że niestety, jednym okrętem... Takiego manewru nikt mi nie wybaczy...

Ale Rogge był starym wyją. Zrozumiał zamiary Australijczyka i otworzył ogień ze wszystkich dział.

„Commissier” stanął w płomieniach. Jeszcze dwie salwy korsarza dopełniły losu bohaterского statku. Szybko pogrążył się w falach Atlantyku i tylko przeciągłe buczenie jego syreny niosło w noc wieść o nowej zbrodni hitlerowskiego korsarza.

Tak zatoneła jedenasta ofiara Rogge'a.

Dla admiralacji brytyjskiej był to szczególny cios. Pomijając straty w ludziach i sprzęcie, wiadome stało się, że Niemcy, przeskakując pływające po powierzchni przedmioty z zatopionego statku, natrafili na tajne dokumenty okrętowe, wśród których znajdowały się klucze szyfrowe angielskiej marynarki wojennej.

Nadszedł 16 listopada. Na horyzoncie pojawił się tankowiec. Rozpoznano w nim norweski statek „Ole Jacob”. Rogge zmienił taktykę. Oddalał się nieco od niepływającego tankowca. Wzywał do siebie dwóch oficerów.

— Przebieżcie się w mundury angielskie. Podpłyniecie na motorówce do „norwega” i gdy wstąpiacie na jego pokład opanujecie statek. Ja będę dryfował.

W kilka minut później, od „Atlantisa” odbiła motorówka. Na dziobie jej powiewała flaga angielskiej marynarki. Załogę stanowiło dwóch oficerów i uzbrojeni marynarze. Wszyscy przebrani w mundury angielskie.

Opuszczone trap z „Ole Jacob”. Obaj oficerowie szybko wspieli się na pokład. Gdy oczekujący u burty kapitan „norwega” z uśmiechem wyścięgnął dłoń do wstępujących na pokład oficerów, w odpowiedzi padły strzały. Kapitan i dwaj obok niego stojący oficerowie padli na miejscu. Dalej poszło już „gładko”. Reszta załogi steroryzowana przez Niemców poddała się bez sprzeciwu. „Ole Jacob” płynął posłusznie w kierunku „Atlantisa”.

W dwa dni później napotkano inny tankowiec norweski — „Fedy”. Tu Rogge zastosował w pełni piracką taktykę. Kilka szybkich salw „Atlantisa” i oto „Fedy” zamienił się w gigantyczną pochodnię. Wiele godzin olbrzymi płomień unosił się nad Atlantykiem. Tysiące ton ropy płynęły na powierzchni oceanu. Berlin był zadowolony, Rogge triumfował.

Rogge zasmakował w swej robocie. Dysponując niesłychanie zdyscyplinowaną załogą, bardzo manewrowym statkiem, działając od przeszło roku bez awarii — stał się hazardzistą. Coraz śmielej sobie poczynał — był przecież nieuchwytny...

22 września 1941 roku „Atlantis” miał wyznaczone spotkanie z łodzią podwodną U-126 w celu zaopatrzenia się w paliwo. Spotkanie było wyznaczone w połowie drogi między Brazylią a Afryką.



Niemiecki korsarz wytawia angielskich rozbitków

Operacja przetankowywania paliwa jest czynnością niezwykle złożoną, uniemożliwiająca jakąkolwiek obronę w wypadku niespodziewanego ataku. Podczas przetankowywania hydroplan wywiadowczy „Atlantis” spełniał rolę głównej ochrony statku. Tymczasem w przeddzień hydroplan uległ wypadkowi tak, że tym razem operacja tankowania odbywała się pod nieobecność opiekuńczych skrzydeł.

— Statek z lewej na horyzoncie! — zawołał nagle marynarz pełniący służbę wartowniczą na „Atlantisie”. Rozległy się dzwonniki alarmowe. Rogge, który znajdował się na górnym pokładzie, dłuższą chwilę patrzył przez lornetę.

— Podnieść kotwicę! — powiedział spokojnie do stojącego przy nim pierwszego oficera — to angielski krążownik.

Łódź podwodna zanurzyła się, ale nie miała torped na pokładzie. Rogge'a nawiedził pech...

W tym momencie „anglik” oddał pierwszą salwę wykazując dobitnie, że „Atlantis” znajduje się w zasięgu jego dział. Równocześnie telegrafista odebrał rozkaz zastopowania maszyn. Powtórzyła się, odwrotnie, stara historia...

— Telegrafować do „anglika”, że jesteśmy statkiem „Polypemus” idącym do Brazylii — Rogge starał się nie tracić równowagi.

Po chwili przyszła odpowiedź: „Stać w miejscu i oczekiwać na nasze rozkazy”. Odległość była duża. O skutecznym użyciu dział „Atlantisa” nie mogło być mowy.

Dowódca angielskiego krążownika „Devonshire” kpt. Oliver, któremu zatrzymany statek wydał się bardzo po-

dobny do korsarza, przesłał natychmiast depezę do Dowództwa Południowego Atlantyku: „Czy rejestry morskie notują statek o nazwie „Polypemus”, a jeśli tak, to czy jest możliwe, aby znajdował się on w tym miejscu. Odpowiedzieć szybko”.

Drzwi gabinetu naczelnego dowódcy Południowego Atlantyku nagle się otworzyły. Na progu stał kapitan.

— Sorry — powiedział — wręczając krótki pasek taśmy telegraficznej.

„NIE! POWTARZAM: NIE” — odczytał obaj na głos. Admirałowie spojrzeli na siebie z zadowoleniem.

— Identycznie przekazać na „Devonshire” Oliverowi! — Yes, sir — odpowiedział kapitan.

Była godzina 9.32, dnia 22 września 1941 roku.

Godzina 9.34. Radiotele-

grafista „Devonshire’a” przekazał kpt. Oliverowi odpowiedź naczelnego dowódcy.

— Ognia! — rozkazał Oliver.

Powietrzem targnął grzmot salw artyleryjskich. Pierwsze trafienia wstrząsnęły „Atlantidem”.

— Zalażyć bomby zegarowe! Opuszczać statek! — rozkazał Rogge.

Znow salwy „Devonshire” wstrząsnęły powietrzem. Na skutek trafień „Atlantis” pionął i nabierał wody.

Była godz. 9.40, gdy rufa „Atlantisa” zaczęła powoli zanurzać się w oceanie.

Kontradmiral Bernard Rogge, dekorowany jeszcze przez Hitlera wysokimi orderami za zatopienie 22 alianckich statków handlowych, dożył szczęśliwie czasu dzisiejszych i obecnie zajmuje wysokie stanowisko w sztabie Bundesmarine NRF...

Jak zostać
**amerykańskim
SZPIEGIEM?**
ZA TYDZIEŃ
W „V KOLUMNIE”

RYCERZE MALTANSKIEGO KRZYŻA



Współczesne Syreny nie mają kobiecych torsów ani rybich ogonów. Współczesne Syreny są mężczyznami w grubych, niezgrabnych skafandrach, baniastych hełmach na głowach i ciężkich, metalem okutych buciorach. Zamiast śpiewać — porozumiewają się przy pomocy telefonu. Zamiast zwabiać marynarzy w morskie głębiny — ratują ich, a statki i ładunek wydobywają na powierzchnię. Współczesne Syreny pełnią służbę w ratownictwie okrętowym. Współczesne Syreny to — nurkowie.

Eksploatacja, w której praca nurków jest czynnikiem podstawowym, to tylko jedna z dziedzin działalności Polskiego Ratownictwa Okrętowego. Istnieje obok właściwego ratownictwa, a jest żle, jeżeli ratowanie wymaga już nurka.

Eksploatacja polega na wydobywaniu wraków z dna morza.

Ludzie nurkują od tysięcy lat. Zaczęło się oczywiście bez jakiegokolwiek aparatu. Ot, kilka minut pod wodą, półki starczy oddechu. Przynajmniej współczesne przynosiła druga połowa dziewiętnastego wieku. Nasz wiek znacznie je udoskonalił. Blżej zainteresowanym przedmiotem polecam podręcznik „Prace podwodne” prof. Zdzisława Cwieka, dyrektora PRO, wydany nakładem Wydawnictw Morskich, czyta się go jak sensacyjną powieść.

Nielatwo zostać nurkiem. Wymagania są kolosalne. Przede wszystkim zdrowotne. Pod wodą czują tysiące niebezpieczeństw. Nurk najbardziej boi się choroby kesonowej. Powstaje ona w wyniku niewłaściwego „rozprężania”. Tam, na dole, trzeba ciśnieniem powietrza w kostiumie wyrównać ciśnienie wody. Jedna atmosfera na dziesięć metrów zanurzenia plus normalne ciśnienie atmosferyczne, które działa na powierzchnię morza. Dlatego przy wychodzeniu obowiązuje ostrożność. Robi się przystanki, stopniowo przyzwyczajając organizm do zmiany. Jeżeli rozprężanie przeprowadzono za szybko, we krwi wyzwalają się raptownie azot. Blokują naczyń krwionośne, powodują bóle, paraliż.

Chorobą kesonową grozi między innymi „wymuchanie”. Łatwo może się zdarzyć, iż nurk dostanie za dużo powietrza. Uzdyszałby dodatkową pływalność. Blyskawicznie wy-

plynie. Jak balonik. Ratuje go wtedy specjalna komora dekompresyjna na pokładzie. Decyduje szybkość pomocników, którzy śledzą każde drgnienie „linki życia”, łączącej nurka z powierzchnią.

„Linka życia”, to jakby symbol koleżeńskich więzów, symbol bezgranicznego zaufania. Nurk schodząc powierza się bez reszty opiece przyjaciół z pokładu. Od chwili udrzenia dłońią o hełm, znaku gotowości, do momentu gdy odkręca mu przednią szybę, „bulaj”, a pompy przerwą pracę, życie i zdrowie zależą od tamtych. Chyba tylko lońictwo zna podobne przyjaźnie. Aby je odczuć trzeba ukochać Przygodę.

Przygodę pokochał inspektor nurkowania, nurk niejako z powołania, Zygmunt Dąbrowski. Nieokielzana żądza wrażeń przynęcała go z lotnictwa do PRO. Warto zobaczyć jego uśmiech, gdy mówi o podwodnych zejściach. Uśmiech, w którym przewija się odbicie obcego świata głębin.

U wszystkich nurków, których podczas parodniowej wizyty w Porcie Rybackim poznałem uderzył mnie ten właśnie wyraz twarzy. Oczy, które patrzą na rozmówcę, widzą coś innego, niezrozumiałego dla przeciętnego szczeniaka lądowego. Nie wiem, może tak wpływa obcowanie z dziwną dla nas przyrodą, a może spojrzeli na Syrena odbija zew, który przepajał bohaterów Londona?

Pod wodą najprostsze zdawałoby się sprawy urastają do rozmiarów problemu. Opowiadał mi nurk Stanisław Budrewicz, brunet, za którym na pewno szaleją kobiety, jak któryś z jego kolegów wszczął alarm. Wyciągnęli natychmiast i wsadzili do komory dekompresyjnej, bo był głęboko. W komorze się wyjaśniło. Gdzieś w zakamarkach hełmu ukryła się... osa. Zwyczajna, pospolita osa. Ale spróbujcie wyobrazić sobie nurka, kiedy mu krażyła wokół twarzy. I ten hałas w metalowej kuli. Wołał wariyżkować zdrowie, byle tylko wyzwolić się od skrzydlatego potwora.

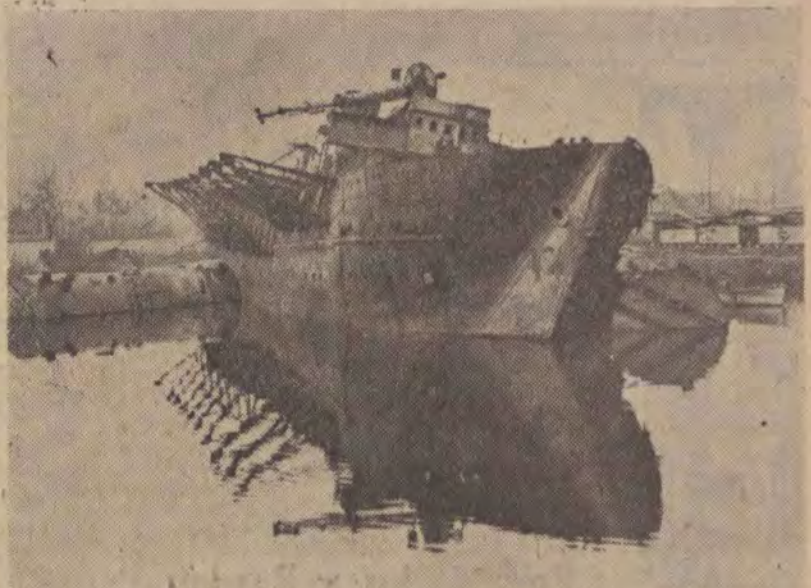
Inny nurk podczas wydobywania wraku „Seeburg” (dziś statek nazywa się „Dzierżyński”) i pływa pod polską banderą) ujrzał przez bulaj przerażającą, wąsatą gębę. Wydobył go. Zemdlał. Któż się spodziewał, że koło Jastarni znajduje się niewinna foką? Ze zechce pobawić się z nurkiem?

Długo można słuchać gawęd nurków. Każda przygoda pasjonuje, choć oni traktują je, jak najcodzienniejsze wydarzenia. Budrewicz przyznał się kiedyś z... okoniem. Dzień w dzień się odwieczają.

Jeżeli zdrowie odmówi posuszenia czy wiek przekroczy określona granicę, nurkowie otrzymują bezpieczną pracę w porcie. Ale zostaje w nich nieokreślone lęsknota. Tęsknota, która nadaje oczom błysk, gdy pada magiczne słowo: wraki.

WRAKI

Kierownik działu organizacyjnego PRO, Stanisław Tęczar, twierdzi, że w kraju wystarczą



roboty na dziesięć lat. Bierze przy tym pod uwagę wyłącznie wraki stanowiące przeszkody nawigacyjne. Teraz na przykład nawigację pracują przy trzech. Metoda prototechniczna. Lupa dynamitem na złom „Stuttgart” na gdyńskiej redzie, „Osnabrueck” i „Orion” w rejonie Swinoujścia.

Jedną z największych dotąd prac Polaków było wydobywanie w roku 1957 trzech wraków w Bombaju. Przyniosło państwu 204.000 funtów szterlingów, a naszemu ratownictwu światową sławę. Mirosław Stankiewicz, kierownik ekip i mój przewodnik po PRO bardzo mądrze („ja w matematyce nigdy nie byłem w latach szkolnych asem”) obliczył, że na czysto jeden funt kosztował nas czterdzieści złotych. Ładnie.

Tyle że z umowami zagranicznymi kłopot.

**Tekst: Ryszard Raduszewski
Zdjęcia: J. Sowiński
M. Szyrowatko**

ślaw Stankiewicz, kierownik ekip i mój przewodnik po PRO bardzo mądrze („ja w matematyce nigdy nie byłem w latach szkolnych asem”) obliczył, że na czysto jeden funt kosztował nas czterdzieści złotych. Ładnie.

Tyle że z umowami zagranicznymi kłopot.

ZASADA DEFICYTOWYCH KNAJP

Mamy dobrą firmę. Trzy lata temu popisywali się nasi ratownicy na konferencji światowej w Portugalii, za rok weźmą udział w międzynarodowej konferencji i pokazach w Bremie, na ich koncie figurują poważne wydobywania, utrzymują kontakty z ratownictwem okrętowym ZSRR, Szwecji, Danii, NRD i NRF. Są dobrze na światowym rynku notowani. Pięć holowników, sześć kutrów ratowniczych, dźwig pływający, dwa lodolamacze, dziesięć łodzi ratunkowych oraz liczny tabor jednostek pomocniczych i łącznikowych, składają się na jedną z większych flot w służbie maltańskiego krzyża. Holownik dalekomorski „Jan-tar” o mocy 4.000 KM niedługo wypłyne ze stoczni, dojdą jeszcze trzy nowoczesne lodolamacze.

Co z tego? U nas nawet knajpy potrafią być deficytowe.

W konkurencji rozstrzyga szybkość. Niech się tylko na morzach wydarzy katastrofa, która otwiera szanse zarobku przy wydobywaniu wraku albo ładunku, natychmiast zlatują się samolotami ekipy, nurkowie, by w imieniu awyich przedsiębiorstw złożyć oferty. Naszej z reguły brakuje. Konkurenci podpisują umowy na grube kwoty — w dewizach rzecz prosta — a tymczasem formularze paszportowe przedstawicielei PRO wędrują z biurka na biurko. Dolary przechodzą koło nosa, mimo że właśnie my mamy największe bodaj szanse. Czyż to nie „kryminal”? że po zombardowaniu Kanalu Sueskiego zarobiły wszystkie posiadające ratownictwo państwa z wyjątkiem Polski? Inni wyeksploatowali przysłowiową złotą żyłę. Polacy przez ten czas zalałowali formalności „na miejscu”.

Pogotowie i lodolamanie należą do usług w założeniu niedochodowych. Leczą holowania i eksploatacja? W rozrachunku PRO, od statków polskich dostaje... 200 zł za godzinę holowania. Dochody eksploatacji w całości idą na fundusz rozbudowy floty. Któż nie pomyślał, że po bardzo prostym usprawnieniu fundusz rośnie znacznie szybciej. Myślenie wciąż jeszcze męczy.

Tymczasem wystarczy, żeby trzech ludzi miało stałe paszporty zagraniczne — uprawniony do podpisywania umów inspektor i dwóch nurków. Wystarczy, żeby do ich dyspozycji została skromna pula dewizowa. Na wyjazd. Coś się stanie — poleca, obejrza, skalkulują i ewentualnie podpiszą, jeśli transakcja będzie opłacalna. Nawet gdy nic z tego nie wyjdzie, zawsze się ta strata w konsekwencji opłaci. Następnym razem, w trójnasób.

System dotychczasowy dziwnie przypomina deficytową knajpę.

Polskie Ratownictwo Okrętowe myśli o zastosowaniu pletwonurków przy pracach rozpoznawczych. W ciemnym, mętym Bałtyku możliwości są mniejsze. Większe w przezroczystych wodach Południa. Zaczynają skromniutki. Od klubu sportowego. Nowoczesne Syreny stopniowo upodabniają się sylwetkami do kuzynek ze starożytnej Hellady.

PRO myśli o stałych patrolach ratowniczych na wodach dalekich oceanów. Może w Indonezji, może w pobliżu Suez... Rozbudowuje flotę.

Czy ktoś wreszcie pomyśli o samodzielności rozrachunku przedsiębiorstwa, otworzy przed nim drogę swobodnego zdobywania dla kraju drogoceńnych dewiz?

Nie wiem. Chciałbym w to uwierzyć. Praca, której ludzie poświęcają życie, zdrowie, zamilowania nie może ograniczyć się do poszukiwania nieuchwytniej Przygody. Nas na to nie stać. Rzeczywistość się kłania. Realizm, gospodarczy realizm.



W
i
e
r
s
z
e



Pocztówka z Rzymu

Krasnoludek chwycił za skrzypce
 Jezus Maria
 Skrzypce zbudowane z deszczu i z ciemności
 Jezus Maria
 Z trawy podniosła się dziewczyna
 Jezus Maria
 Połowa srebra połowa cienia
 Jezus Maria
 Uderzyła ją w twarz melodia
 Jezus Maria
 Wbiła się nożem w gardło
 Jezus Maria
 Upada ścięta lodyga róży
 Jezus Maria
 Zabójca odkłada skrzypce
 Jezus Maria
 Która godzina trzecia nad ranem
 Jezus Maria
 Nie się nie stało śpijmy dalej
 Jezus Maria

Nocne zabójstwo

Ulice rzymska,
 architekturo połączonych żywiołów,
 kolorowy obrazie powietrza, nięba, bryły,
 strumieniu ruchu, rzeźbo przestrzenna!
 Strzeliste szeptu nocą na Forum Romanum.
 Młodzieńskie, szczupłe córki stulecia
 wabią mnie ukarminowanymi wargami.
 Potomkowie Cezara, wstydyście się.
 Horacy, ojciec pieśni, przebacź.

Czytam statystykę w tygodniku „Borghese”:
 Codziennie zabija się dziesięciu Włochów.
 Innych dziesięciu popełnia zamach samobójczy.
 Odkręć w kuchni gaz, umrść z książką Sartre'a w rękach.
 Oto jest wielka przyгода w bajerce bytowania.
 Rzecz pospolita zbudowana została na nudzie.
 Gdzie się podzieli świeci, rycerze, pocię?
 Wybaw nas siostrze miłosierdzia,
 architekturo zbuntowanych żywiołów.

Namalowana umarła

Podwójny wybuch piersi
 dwie rany zalepione dwoma ciemnymi kółkami
 księżyc kraina srebra

Martwa natura obliwienica Picassa
 przerażona muza stulecia
 różę czułości sżyja skrzypcowa

Promień światła zlamany w pół
 pod jej stopami
 księżyc główka pyzata
 zdziwione dziecko

Zaplacz nade mną geometryczna niewlasto
 nie pogrzebana umarła
 przede mną jeszcze tyle cierpienia

Natura i sztuka

Wiem
 roślinie kasztan
 pianą kwitnienia
 umowna rzeczywistość

Nie żał mi niczego
 zładna zielen
 odbita jest na siałkowiec
 kłamstwo przyrody

Góro liści
 żywa do października
 odchodzę
 z gwiazdą u skroni



Zapoznane pokolenie

W ostatnich dniach sierpnia prasa codzienna przydesła zapowiedzi wydawnicze „Iskier”. Uderzyły mnie w nich dwa charakterystyczne anonsy. Pierwszy informuje, że już wkrótce ukazuje się dawno oczekiwana antologia młodych poetów piętnastolecia, redagowana przez (tu pada nazwisko jednego z bardziej obrotnych warszawskich czterdziestolatków). Na antologię złoży się wiersze siedmiu młodych autorów... Następuje sledem nazwisk. Czytam je i, gdybym był młodszy, trochę bym się zdziwił. Pierwsze dwa nazwiska należą do wybitnych poetów okupacyjnych, którzy poległi podczas warszawskiego powstania — i te mnie nie dziwią, gdyż wiadomo, że umarli pozostają młodzi. Dziwi mnie natomiast lista dalszych młodzieńców. O ile pamiętam, demonstrowali oni bardzo hałaśliwie swą okupacyjną młodość w latach 46—48. potem raptownie i bardzo głośno „dojrżeli”, opiewali pełnym głosem patos naszych czasów i własną sześciolatki, z kolei najgłośniej z nas wszystkich przeżyli tzw. „wstrząs”. Mniejsza o ich wstrząs — szczęśliwi ludzie dają słowo — człowiek niedługo dziadkiem zostanie, a oni — wciąż młodzi.

nie może”, stwierdzić musimy, że pokolenie to dało chyba najmniej spośród wszystkich pokoleń literackich w Polsce Nazwisk (czyli nazwisk liczących się jako takowe współczesności).

Cechą typową średniego pokolenia jest to, że gdzieś się zapodziało. Nie ma go, pozostali wciąż młodzi, są także starzy.

Dlaczego tak jest? Po mojej recenzji o grubo spóźnionym debiutanckim tomiku Mirosława Ochockiego zapytywano mnie z wielu stron, czemu dałem jej nagłówek „Poeta zapoznany”? Rzeczywiście, sprawa ta w recenzji nie wyszła dość jasno i wyjść nie mogła. Recenzja mówi z natury rzeczy o miejscu na Parnasie należnym autorowi, a nie o zajmowanym aktualnie wskutek takiej czy innej konfiguracji geograficzno-towarzystwiej.

Jeszcze jeden przykład i będę zmierzał do końca.

Swego czasu, w latach, kiedy miasto — Łódź było stolicą kulturalną Rzeczypospolitej i w murach jego znajdowały się pisma przez duże P — a więc przed rokiem 48 — wystartowała tu z wielkim hałasem i rumorem doskonale zapowiadająca się młodzieżowa trójca poeticka: Worczyński, Braun, Miller. Dwaj pierwsi, gdy się miało pod koniec

stołecznej Łodzi, błyskawicznie bo-orientowali się w sytuacji, wyemigrowali do Warszawy i już jedenasty rok z rzędu czynią wokół swych osób niezmienny rozgłos swymi nigdy nie rozmiągającymi się z potrzebą chwili publikacjami i wynurzeniami. Trzeci przebywał jeszcze przez kilka lat w Łodzi i w tym czasie, chociaż jak tylko umiał, czynił wokół siebie rozgłos. (nie tylko zresztą publikacjami) echa jego wystąpienia cichły już ostatecznie w rejonie stacji Kółzszki.

— Ach więc — sądziłby kto, doczytawszy dotąd — obdarzony tegim kompleksem geograficznym, zmierzamy do udowodnienia, że przyznają tak szczupłej reprezentacji poetów pokolenia w świadomości koneserów pism literackich jest Prowincja? Jeśli tak, to stara śpiewka.

Wcale nie! Nie chodzi mi o prowincję naturalną, bo w tym wypadku dowodzenie, że zamieszkiwanie z daia od jakiegoś czasu zachowanie się Tadeusza z najwyższym niepokojem. Nie usuchał jej, zbyt ją wymuszonym uśmiechem i wyszedł pośpiesznie z izby.

(Następny felieton Tadeusza Chróscielewskiego o poetach prowincji ukazuje się w najbliższym numerze. Red.)

STANISŁAW PIĘTAK

STRACONY

(Dokończenie — poprzedniego numeru)

Nie udał się jednak z odwrotem do Starośla, postanowił spotkać się z kimś z znajomych, by dowiedzieć się co mówią o nim i Barbarze.

Przez jakiś czas zdołał znowu uzyskać wywyższenie nad Barbarą i nawet z niej sztydził. W taki sposób przynajmniej rozmawiał z koleżanką Barbary, urzędniczką pocty, Malwiną, pozwalając sobie na obraźliwe uwagi w stosunku do dawnej narzeczonej.

— Po co pan gra gburą, przecież pan nim nie jest — zwróciła mu uwagę surowo. — Basia nie rozumiała pana i pan jej nie rozumiał — dla nas wszystkich jest to jasne i my się niczemu nie dziwnimy, nie potrzebuje się pan tłumaczyć.

— My, my — o kim pani mówi? — W pierwszym rzędzie o sobie. — Uśmiechnęła się i dotknęła nie spodzianie jego ręki. — Życzę panu jak najlepiej, więc z całej duszy nie radzę zaczynać nowych starań o Barbarę, to już teraz na nic.

Rozpoczął rozmowę butnie i hardo, a kończył w kompletnym rozluźnieniu woli. To chciał się u-mówić z Malwiną na wieczór, mówiac, że zawsze czuł do niej sympatię, to zwierzał się jej ze swoich kłopotów rodzinnych, radził się czyby nie mógł w mieście dostać jakiejś pracy — naraz jednak po-żegnał się nieoczekiwanie, choć dziewczyna już była skłonna z nim się spotkać, oświadczacjąc, że wraca do domu.

Nie opuścił jeszcze miasta, wciąż miał bolesną nadzieję, że przypadkowo natknę się na Barbarę — może w cukierni, może przed kinem — i włączył się po ulicach bez końca. Był nawet na wieczornych nie-sporach i to aż do ostatka nabo-żeństwa, a mimo wszystko nie spotkał jej, nie spotkał...

III

Od tego dnia życie Tadeusza straciło jakikolwiek ład i konsekwencję. Ciagle z początkiem nocy obiecywał sobie, że już nie ruszy się z domu ani na krok, a znów rankiem zrywał się z pościeli i co rychlej, udawał się do miasta, wracał zaś późno, o dziesiątej, jedenastej, a nawet o północy. Coś na trzeci wieczór dostał gorączki i majaczył. Ponieważ zdarzało mu się to i przy niewysokiej temperaturze, nie przejął się tym jednak, nie zmienił wcale swego trybu życia.

Właściwie wyruszał teraz do Tarnomyśla już nie tylko dla zobaczenia się z Barbarą, ale bodaj dla czegoś ważniejszego — dla rzucenia w twarz ludziom z jej otoczenia jakiegoś wyzwania i ostatecznego potępienia.

Z Barbarą mógł się przy wysiłku woli spotkać, ale w ostatniej chwili coś go od tego powstrzymywało — chyba poczucie godności, które go nie opuszczało nigdy. Oto raz, gdy go zobaczyła, przeszła ostantacyjnie na drugą stronę trotuaru — miałże więc udać się za nią? — oto nazajutrz w kościele zniknęła mu w tłumie, a wychodząc pojawiła się w towarzystwie inżyniera Wodeckiego i doktora Mroczkiewicza... Zdawał już sobie sprawę, że budź w mieście swoim zachowaniem uczucie zdumienia i grozy. Włączył się przecież bez celu po parku, stał całymi godzinami przed szkieletką, udając, że słucha wojennych komunikatów, cisnął się do kina i na zakazane seanse filmowe.

Panie magistrze, tak nie można — zaczął go raz młody student czy uczeń, zdaje się, był to najmłodszy z braci Małoszków — Niemcy przecież zaaresztują pana i rozważą.

— Rozpacz o taką dziwę, czyż to nie wstyd?... To chyba powiedział już Witek Leszczycki, a może, może... Raz w ciemnościach podeszła do niego i Malwina, wypro-wadziła go aż za miasto.

Nie wstydzisz się mnie? — spytał znużonym, pokornym głosem.

Nie, ja cie tylko żałuję. — Coś niedobrego z toba się dzieje — dodała — może byś się jednak poradził lekarza.

Kogo, może Mroczkiewicza? — zaśmiał się.

Ja nie z własnej woli przy-szłam — poczęła naraz śpiesznie mówić, głowę miała nie zakrytą, ostrzy wiatr szarpał jej jasnymi pasmami włosów — choćby mnie wysłali, uważają, że to przechodzi pojelece...

Malwina, a ty dałabyś mi się kochać?

aspazja

ILUSTR. J.BIS-GRATKOWSKI

- 82 -



— Tutaj chcę jeszcze kilka słów powiedzieć o jej stosunku do ludzi — powiedziała Latona. — Może ona złościć się, być groźna i występować przeciw ludziom, ale bez ludzi nie będzie mogła jednak żyć. Czym wy jesteście dla niej? Czym jest wasza obłąkańcza miłość? To jest przecież ten konkretny i najwyższy sprawdzian jej potęgi i jej „uczłowieczenia”, to jest ten egzamin ostateczny. Miłość człowieka do maszyny — czy nie dziwna rzecz? Ale człowiek jest oszukany, człowiek nie wie, że to jest maszyna. Maszyna posiada nie tylko rozum, ale zdobyła pięć. Być może minie trochę czasu i maszyna znacznie powoli stawać się organizmem — najpierw skóra stanie się organiczną, potem mięśnie, następnie kości, później po jednemu narządy wewnętrzne, aż dojdzie do mózgu — zamiast tranzystorów i tregerów, zaczną myśleć szare gangliony.

Postyszeliśmy jakiś szmer i zerwaliśmy się na równe nogi. Nerwy nasze były napięte do ostateczności. Wtem zakolysała się opalizująca kotara nad wejściem i weszła królowa Aspazja w wieniec z czerwonych kwiatów na głowie, ze swoim płomienistym berłem w rękę, w czerwonej powłóczystej todzie z białym szlakiem. Za nią wszedł jej kot.

Oburzona nas szmaragdowym spojrzeniem. Uśmiechnęła się. Widać, była w dobrym nastroju. Chciała właśnie coś powiedzieć, gdy ze zwierzęcym rykiem, rzucił się na nią admirał Hill. Chwylił ją za gardło, obalił na podłogę i zaczął dusić.

Przeżalenie odebrało nam początkowo władzę w członkach. Po chwili skoczyliśmy na pomoc, ale admirał miał w sobie siłę tura. Dusił królową, a mimo to miotał nami na wszystkie strony, jakbyśmy nie nie wazyli. Odkakaliwaliśmy od niego jak piłki i objaliśmy się o ściany. Wreszcie wspólnymi siłami zdołaliśmy go jakoś obezwładnić. Siadł cały zalany krwią, która mu ściekała spod bandaży, straszliwie rozjuszony, z krwawymi oczami i pianą na ustach. Coś ryczał i oddychał ciężko, lecz nie można było zrozumieć, o co mu chodzi. Miotał najgorsze przekleństwa.

Upadłem przed nią na kolana, chwyciłem ją za rękę, w której trzymała kurczowo zacisnięte berło... w tej chwili wyskoczyła z jego ostrza sycząca zie-

- 83 -



lona iskra, uderzyła mnie w piersi... i upadłem obok niej bez przytomności...

A gdy się ocknąłem, już byłem tutaj, w „Glorii”... i ty mnie culeś — zakończył swe opowiadanie doktor Freyd.

Siedziałem jakiś czas w milczeniu koło mojego biednego przyjaciela i rozmyślałem. Tak więc przedstawiała się prawda. „Gloria XIX” mknęła w kierunku Ziemi. Jakże dziwny jest świat! Ile kryje w sobie niespodzianek. Cóż zaniesiemy ludziom? Kto uwierzy naszym opowieściom? Zwycięstwo to było czy klęska? „Gloria” była uratowana, lecz ludzie zginęli. Na placach i w pałacach Nowych Aten stanęły nowe złote statuy. A może nie? Może statuy zostały oddbite, a ludzie mimo wszystko żyją? Latona obiecywała, że z tej ekipy nikt nie zginie. Może więc należało zostać lub teraz po nich zawrócić?

Cóż się dzieje z Towsendem? Czy już jest trupem, czy może został mężem Aspazji i króluje nad Marssem?

Freyd leżał błąd, prawie siny, serce jego zamierało. Wziąłem go bez słowa na ręce i zaniosłem do ambulatorium na stół operacyjny. Umyłem ręce, nałożyłem biały kitel i zapytałem co dalej mam robić? O robieniu operacji miałem słabe wyobrażenie.

— Gdybym umarł — szepnął — ubierz mnie w skafander i wyrzuć z rakiety. — Milczał chwilę. Z jego ust dobywało się suche rżenie. — Może doleć — szepnął dalej — może doleć do mojej na wieki... do mojej... ukochanej Aspazji.

Skinąłem głową. Biedny, biedny Olo! Znał całą prawdę, a mimo to kochał ją dalej.

Wykonując ściśle jego wskazówki, po znieczuleniu okolicy serca i częściowym zamrożeniu ciała, otwarciu klatki piersiowej i resekcji żeber, zamieniłem jego żywe, ale już umierające serce — na sztuczne.

Być może popełniłem jakiś błąd, a może od promieni Aspazji nie mogło być ratunku — umarł po czterech dniach.

Przedtem, na jego prośbę, usadowiłem go w fotelu naprzeciw teleekranu. Miał przed sobą stół rozdzielczy i mógł operować rączkami i galkami jak chciał. Bez przerwy nadawaliśmy sygnał wywoławczy i on słął w Kosmos jakieś rozpaczliwe wezwania.

- 84 -



Miał nadzieję, że może mu się ukaże królowa Aspazja... Ale odpowiedzi nie było. Mars milczał...

Gdy umarł, przestawiłem odbiorniki na Ziemię. Dochodziły stamtąd bliskie sercu, zrozumiałe, kochane dźwięki. Piekielny czar Marsa przysł.

Biednego mego przyjaciela ubrałem w srebrzysty skafander kosmiczny, włożyłem mu do hełmu kilka róż z ogrodu Wanke'a i hermetycznie hełm przymocowałem. Przypiąłem mu do piersi złotą Oznakę Astronautyczną. Kto kocha głęboko — ten może być rozgłoszony. Zgodnie z jego wolą wyłączyłem osłonę i wyrzuciłem go przez właz w przestrzeń planetarną.

Lecił jakiś czas obok „Glorii” i widziałem w hełmie jego bladą, piękną i surową twarz. Tam, na Ziemi, szalały za nim najpiękniejsze kobiety, a tu — na Marsie, on sam oszalał i zaplącał za to życiem. Tak więc odchodził ode mnie człowiek, którego bardzo kochałem. Zrobił kilka obrotów w przestrzeni i odpiął dalej — we Wszechświat — tam gdzie płonie jak szmaragd — Wielka Kassiopa.

Powracałem samotny, okropnie samotny. Aspazja zabrała mi wszystkich przyjaciół, całą załogę.

Obudził się któregoś dnia Pierre Barrot, ale nie ma z niego wielkiej pociechy. Jest ciągle na pół przytomny. Łazi po całej rakiecie, poplaskuje i boksuje się z cieniami. Czarny Ali-Baba jeszcze śpi. Z pięknej Azy zostały już tylko kości i skóra. Siedzi w kabine nawigacyjnej na miejscu admirała i ciągle wyje. Tęczowe kolibry profesora Wanke fruwały wszędzie jak krople porannej rosy.

Tylko więc ja i kot Marduk XIX — wyszliśmy z tej podróży cało. Przy tym jeśli chodzi o mnie, to wcale nie jestem tak bardzo pewien tego.

Właśnie gdy piszę te słowa, kot Marduk XIX mruczy jak mały motorek, ociera się o moje nogi, przeży grzbiet i łapki i powiewa puszystym ogonem. Spogląda na mnie złotozielonymi oczami, w których drżą iskierki jakiejś tajemnicy.

Podnoszę wzrok, wyciągam ramiona, widzę jak nade mną świeci moja Ziemia.

koniec

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

U KOLEBKI IMPERIALIZMU

Powieść Bogusława Sujkowskiego — „Nie bogowie”*) której tematem jest wyprawa Corteza przeciwko meksykańskiemu państwu Azteków i podbój tego kraju (1519—1521), może służyć za wzór popularnej powieści historycznej, gdzie znajomość przedmiotu, dar wyobraźni i talent pisarski składają się na zajmującą, nieraz nawet pasjonującą całość.

W książce, którą tu sygnalizujemy, jest wszystko, co być powinno: ciekawa fabuła, żywa i konsekwentnie prowadzona akcja, wyrazista charakterystyka głównych postaci i staranna motywacja ich działania. Historyczny wątek wyprawy Corteza spleta się tu zreczytnie z zasadniczym wątkiem powieściowej fikcji: są nim losy indiańskiej dziewczyny — Malinali, która — powodowana uczuciem ślepej

miłości dla Corteza i pragnieniem zemsty za doznane od rodaków krzywdy — zdradza swój kraj i naród, pomagając najeźdźcom, aż wreszcie, poznawszy ich prawdziwe zamiary, popełnia samobójstwo, ratując jeszcze przedtem od męczącej śmierci rodzinę wziętego do niewoli ostatniego króla Azteków.

Trzeba podkreślić, że hiszpańscy zabórcy w powieści Sujkowskiego są bardzo interesująco zróżnicowani i podzieleni na odrębne, niekiedy nawet przeciwstawne grupy społeczne (szlachta, duchowieństwo, plebs żołnierski). A i wewnątrz każdej z tych grup dokonuje się w toku akcji powieściowej jeszcze bardziej precyzyjne, indywidualne zróżnicowanie. Dzięki temu niemal każdy z bardziej eksponowanych uczestników wyprawy ma interesujący zarys osobisty,

Woda tej wyprawy — Hernanda Corteza, Sujkowski przedstawia według relacji i przekazów historycznych. W tej niepospolitej i charakterystycznej postaci konkwistadora dominują trzy rysy zasadnicze: nieopohamowane samowładcze ambicje, odwaga rzadko spotykana i okrucieństwo bez granic. Cortez, który mówi o sobie, że „jest jak miecz w ręku archanioła”, nie zna wobec Indian litości ani pobłażania, nie cofa się przed niczym dla osiągnięcia swoich celów.

Zgodnie z obiektywną prawdą, autor powieści — co również na jego dobro zapisać należy — przedstawił państwo Azteków jako kraj o wysokim poziomie cywilizacyjnym, posiadający szkoły różnego typu, stacje sportowe, wspaniałą architekturę, pięknie prosperujące rzemiosła, regularne oddziały wojskowe i wiele innych godnych uwagi instytucji i urządzeń. W ustroju państwa Azteków było sporo elementów swojej demokracji, z której jednak mogli korzystać jedynie pełnoprawni obywatele, z pominięciem jeńców i niewolników, pojmanych w walkach z sąsiednimi pójdzikimi

szczepami. Tej azteckiej demokracji Cortez i jego świta bał się jak ognia i zarazy. Bał się, że demokratyczne wzory i przykłady wzmogą wśród żołnierzy nastroje antyfeudalne, osłabią ich karność, a może nawet skłonią do otwartego buntu przeciwko „szlachetnie urodzonym” panom i władzy kościelnej. Toteż Cortez czynił wszystko, co tylko mógł, by zwolenników i nosicieli tych „niebezpiecznych” tendencji wytopić i wytepić.

Kończąc to dość sumaryczne — z konieczności — omówienie powieści Sujkowskiego, pozwolę sobie jeszcze na refleksję, że dla nas, którzy jesteśmy świadkami zmierzchu i upadku wszelkich form imperializmu i kolonializmu, powieść, ukazująca najwcześniejsze fazy tej zaborczej ekspansji jest szczególnie instruktywna i zajmująca.

*) Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.



Jest miasteczko...

(Dokończenie ze str. 3)

fisz, a ten różowo-niebieski tak by pasował do mojej sukni...

On długo celował, aż wiatrówka zaczęła drżeć mu w rękach, ale trafił. Szklana łodyga przysnęła i odcięty kwiat z papieru upadł na ziemię. Potem zestrzelił jej jeszcze wachlarz.

Odprowadzał ich zazdrosny zachwyt ludzki.

— Jaki ładny kwiatek, jak żywy, na ołtarzyku można by położyć... i wachlarz jej stracił od pierwszego razu — rozkładała się brzydka, chuda kobieta z dzieckiem na ręku. Innę cisnęły się, by lepiej widzieć...

A dziewczyna z papierowym kwiatem przy sukni i wachlarzem w dłoni szła niby jakaś średniowieczna dama, albo współczesna dziewczina na procesji. Wydawało się, że ta parka z nadmiaru szczęścia i nabożnych wydziwian uniesie się za chwilę pod niebo, jak

„To” z biedakami na filimie „Cud w Mediolanie”. Ale nagle usłyszałem jak skrzypią buty chłopca, solidne, zamawiane buty na grubej podeszwie (sporo kalfonli musiał w nie szewo włożyć na takie skrzypienie).

I zrozumiałem, że nie z tego cudu i nieba, zresztą może i lepiej, bo co by na to Redaktor Dziśtu?...

A młodzieniec i dziewczyna z papierowym kwiatem zniknęli w napływającym tłumie nie domyślając się, że są śmieszni, ubrani bez gustu, szalenie sympatyczni i nieznośni poza kwadracikiem wesołego miasteczka.

LESZEK WITCZAK

odgłosy str 9

Dziś w numerze:

Antoni Słonimski, Jerzy Putrament,
Bracia Rojek, Magdalena Samozwaniec,
Jarosław Iwaszkiewicz oraz
Artur Maria Swinarski

Złota myśl Cezarego Cwija: „Kto stoi, ten się cofa, kto się cofa, ten przecież idzie... Kto więc stoi, ten idzie”.
Albo: „Naprzód, lecz nigdy w tył!”



SENSACJA ZZA KULIS
WIELKIEJ POLITYKI

nie piszą.

O czym kto myśli?

KALENDARZYK TYGODNIA: Piotra, Pelagii.

Słońce, podobnie jak w ubiegłym tygodniu, wschodzi i zachodzi według nowego czasu. Urodzeni w tym dniu żyć będą na coraz wyżej podnoszącej się stopie. Nadal jaja są mądrzejsze od kur oraz ręka ręce myje i obydwie są czyste.

Zawiadomienia Międzynarodowego Roku Geofizycznego: 00 — hm, hm, V — 0.02.



Żuż nie egzystencjalizm modny. Najnowszą pozą wśród przyszłości narodu jest sytuacjonizm.

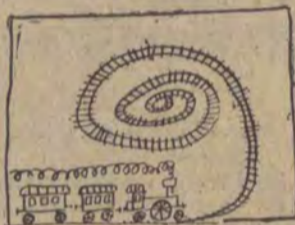
Nie wiem, z jakich to źródeł filozoficznych czerpią natchnienie swojszy sytuacjonisci. Podejrzewam, że oni sami nie bardzo wiedzą. Zresztą cały ten nowy prąd, przynajmniej w wersji popularnej, na codzienny użytek, da streścić się w dwóch zdaniach. Człowiek — uważają sytuacjonisci — w obliczu potężnych sił politycznych i technicznych, które kształtują współczesność, jest zupełnie bezsilny, niezdolny w najmniejszym nawet stopniu wpłynąć na bieg wypadków. A zatem należy powstrzymać się od jakiegokolwiek działania w kierunku zmiany istniejącego stanu rzeczy, należy natomiast dostosować się do aktualnej sytuacji i czerpać zadowolenie z kompletnej obojętności wobec wszelkich spraw, poza „micha”, „szkłem” i „ubawem”.

Modny przed paru laty egzystencjalizm, aczkolwiek w swej wulgarniej, pozerskiej postaci zakładał moralny nihilizm, to jednak wytworzył — w działacznej — aurze plwicznosweeterkowej — pewien „snobizm na intelekt”, rozbudził jakieś zainteresowania literackie, artystyczne i światopoglądowe. Sytuacjonizm idzie znacznie dalej. Praktycznym jego wyrazem jest kompletna abnegacja umysłowa, rezygnacja z jakichkolwiek głębszych zainteresowań. W modę wszedł typ prymitywnego brutala, który manifestacyjnie wyraża swą pogardę dla intelektu, kultury, czysto biologicznej stosunek do życia. Młodzi ludzie, o których wiadomo skądinąd, że mają udają przeto kompletnych idiotów, budując sobie w ten sposób uznanie i mił w swoim środowisku.

Oczywiście, najgorszą rzeczą byłoby bić na alarm w tej nowej sytuacjonistycznej sytuacji. Gdyby jeszcze pseudo- i rzeczywistych jełopów otoczył nim behaterskich ofiar reżimu najnowszy gatunek pozerstwa runąłby jak lawina poprzez młode pokolenie. Takie już czasy, że każdy lubi być krytykowany.

sesjoniste

Nasi wszędobylscy reporterzy przetrząsnęli potajemnie, w godzinach pozastużbowych, kosze do śmieci w gabinetach kilku wybitnych osobistości. Znalezione rysunki, machinalnie kreślone przez nich na skrawkach papieru podczas konferencji oraz w chwilach wielkiego namysłu, skonfrontowane z freudowskim podręcznikiem psychoanalizy, pozwoliły poznać tajniki jaźni owych osobistości.



MINISTER KULTURY:

Ariyści, pisarze itp. twórcy, którzy w swych dziełach zdradzają tendencje erotyczne, będą zapewne uradowani i pełni nadziei po odkryciu podświadomej sferzy zainteresowań Obywatela Ministra.



PRZEWODNICZĄCY RADY NARODOWEJ MIASTA ŁODZI:

Cały czas, nawet podświadomie, przejęty jest do głębi problemem rozwiązania mieszkaniowych trudności swego miasta.



PREZES RADY MINISTRÓW:



Diagnoza, z punktu widzenia psychoanalizy, może być dwójaka: albo Obywatel Premier, przeżywa nadal swą podróż do Azji, albo też pragnie mieć lepszą kartę przy brydżu (czemu, jak wiadomo, sprzyja rysowanie słoni).

MINISTER FINANSÓW:



Zrównoważenie bilansu płatniczego naszego kraju zastruwa Ministrówi całą sferę podświadomości i prowadzi do obsesji dolarowej.

MINISTER KOMUNIKACJI:

Fakt, że pociągi nasze na niektórych liniach rozwijają szybkość nie przekraczającą osiągniętej kolejnictwa sprzed I wojny światowej, nęka — jak widać całkiem wyraźnie — nie tylko pod-

POWIEDZIE

Przemówienie wybitnego psychiatry amerykańskiego na uroczystości jubileuszowej, zorganizowanej przez wdzięcznych pacjentów:

„Nie zasługuję doprawdy na tyle uznania. Wdzięczność należy się raczej pacjentom. Bo przecież pacjenci sami pierwsi proszą o wyznaczenie im wizyty, sami mówią co im dolega, sami wyznaczają sobie diagnozę, sami dają mi rady, co mam im radzić i sami sugerują lekarstwa, które im oczywiście zapisuję”.

Jeden z najbardziej cenionych ludzi Francji — Jean Cocteau — tak skomentował sytuację w swym kraju:

„Największą tradycją Francji jest anarchia. Anarchia



Kandydatka na miss Lunaparku



Pewna rodzina buraka w południowo-afrykańskiej prowincji Cape, została obudzona w nocy niezwykłym hałasem. W kuchni znajdował się słon, który pożarł 5 bochenków chleba, 6 funtów cukru, 16 funtów maki i pół worka kartofli.



W Manili na Filipinach 17-letnia Cecylia Camaya w czasie ceremonii zaślubin, gdy zadano jej sakramentalne pytanie „Czy chcesz poślubić tego mężczyznę?” — zawołała „Nie, niech moi rodzice nośdubro go, jeśli chcą” po czym odwróciła się i wybiegła z kościoła.

Kącik dla oTytyCh

Ob. Helena Maronowiczowa z Pułtuska pisze: „Przed paru laty zaczęło mi gwałtownie przybywać na wadze i w tej chwili zamiast ważyć 48 kg przy wzroście 161 cm i nie zużywać tylu materiałów na szmizjery, ważyę 86 kg. Należy więc do tłustych płam na mapie wstrzemięźliwych charakterów naszego spartańskiego społeczeństwa. Co zrobić, aby ludzie nie wtykali mi palcami na ulicy i nie dogadywali w ogonkach po przetwory mięsne, ku którym mam niespotykane cięgotki? Czy poprzestać na jaskrzych chwastach, po których pali mnie tylko zgaga, czuję się

kiepsko i w nocy przesładują mnie widma kotletów schabowych, czy Redakcja wskaże mi jakąś dobrą dietę?”

DROGA CZYTELNICZKO! W poprzednich numerach „Lunaparku” podaliśmy diety Ebsteina i Baulinga-Herveya. Prosimy zaopatrzyć się w brakujące numery naszego pozytywnego organu, albo odzywać się według sposobu Oumouta-Ramonda. Dieta ta mniej obciąża nasz system trawienny paliwem roślinnym, pozwala na wwoz do jamy brzusznej dowolnej ilości piwnów. Oto ona:

7 RANO: 15 dkg mięsa surowej wagi na letnio lub zimno i jeden

ziemniak parzony. Filiżanka kawy czy herbata ze setką młeka zbieranego i pajdka chleba.

W POŁUDNIE: 30 dkg surowej wagi mięsa gotowanego, pieczonego lub z rusztu z jarzynami odpowiednio dobranymi; 1/2 kg kapusty albo też innych jarzyn o równoważnej wartości kalorycznej; świeżych owoców (świeżych).

GODZ. 4: Filiżanka herbaty z 2 albo 3 łyżkami stołowymi młeka zbieranego, mała przyrumieniona pajdka chleba, cienko nasmarowana masłem.

GODZ. 7: ćwierć kilo surowej wagi mięsa na letnio lub zimno. 1 lub 2 ziemniaki, ćwierć kilo świeżych owoców. Napoje wodne w ilości dowolnej.

Powyższa dieta pozwala tegim, starym bywalcom Malinowej i

Bristolu oraz pokątnych pokoi śniadankowych naszego miasta, stołcy i ważniejszych miast wojewódzkich, tracić co miesiąc 3 kg podściółki tuszczowej. Przyszłałi ja Bazyli i Wiktoryna (z Paporona-Pstrokońskich), Fudalejowie z Włocławka, wazący wspólnie 174 kg wraz z jesienią przyodziewką lecz bez ciepłej bielizny.

nowa KARUZELA



16 STRON 1 ZŁ

TUCZY



Jasnawidz niemiecki, Hanussen, stał przed sądem w Berlinie pod zarzutem, że wprowadza w błąd kobiety, mówiąc im o losach zaginionych mężów. Na sali sądowej Hanussen zabawił się odgadywaniem różnych kłopotów ze-



znających świadków. Pewnej kobiecie powiedział, że cierpi na zapalenie dziaśel, inne — że martwi się zła nauka syna. Odgadł on również, że córka głównego świadka oskarżenia ma na imię Ilza. Hanussen został uniewinniony.

EROTYZM w filmie

Pomimo licznych urgensów ze strony czytelników, odcinka powieści filmowej „Trędowata” nie zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Przedrukujemy natomiast fragment artykułku z „Głosu Rob.” (30 wrz. 1958) w rubryce

EROTYZM W PRASIE NAUKOWEJ

„I po śmierci możesz zostać ojcem”...

Biolog francuski, Jean Rostand oznajmił, że męskie komórki rozrodcze mogą być

przechowywane przez nieograniczony przeciąg czasu w temperaturze minus 79 stopni Celsjusza. W ten sposób w długi czas po śmierci można zostać ojcem.

Dr Rostand podał przykład, że zna kobietę-biologa, która teorię o zachowaniu zdolności rozrodczej komórek spermy ludzkiej wypróbowała na sobie. Po śmierci swego męża, który zginął w wypadku samochodowym, żona przechowywała komórki płciowe w roztworze gliceryny w temperaturze minus 79 stopni C za pomocą sztucznego zapłodnienia urodziła dwoje dzieci.

Pomysły

We francuskim mieście Rouen pewien robotnik nazwiskiem Poulter zajął się, że wypije w ciągu 10 minut 39 szklanek vermouthu. Poulter wygrał zakład, lecz przy ostatniej szklance zmarł.

Pierwszy film „pachnący” (pisał o nich w poprzednim numerze) nosić będzie tytuł „Scent of Danger”. Producentem jest Michael Todd junior, który przyjechał do Anglii, by przygotować premierę: Zapach dymu tytoniowego lub perfum będzie „pompowany” do krzesła na widowni równocześnie z odpowiednimi momentami na ekranie.

Na 5 miesięcy więzienia z zawieszeniem skazana została posługaczka z pewnej restauracji berlińskiej, która zamiast zmywać talerze dawała je do wylizania swemu psu. Następnie odstawiała talerze jako czyste na półkę.



Szlagier TYGODNIA

Na Riwierze, opodal najmodniejszego w tym roku Saint Tropez, Saganka napisała już 60 stron swej nowej książki, która będzie ma więcej niż poprzednie — bo 200 stron. Powieść jak zwykle o miłości, lecz tym razem „nie-sharmonizowanej”, gdyż kochankowie „nie kochają się nigdy w tym samym czasie”. Gdy on ją kocha, ona go nie znosi, później na odwrót. Przy okazji tej informacji prasa francuska wspomina znów o prawdopodobnym rozwiedzie Saganki z wydawcą Guy Schillerem, za którego wyszła w marcu tego roku.



Wskiem SERIO

Oto lista francuskich bestsellerów: „Elle-cuisine” (Ona i kuchnia), napisana przez Magpie de Toulouse-Leutrec, „Toujours belle” (zawsze piękna) — Alicji Chavanne oraz „Poród bez bólu”, anonimowego autora. A więc nie Sartre, nie Camus, laureat Nobla, nawet nie Saganka... Grunt to pisać o jedzeniu i pielęgnowaniu urody.

Taka sama lista w Ameryce: „Portret zbrodniarza” — Roberta Traversa i „Rosja dzisiejsza” Johna Gunthera. Powodzenie tej ostatniej książki zaskoczyło nieco wydawców. Obok tradycyjnych zainteresowań, nazwijmy to obyczajowych, toruje sobie więc drogę polityka.

Z PRASY

W „Expressie Ilustrowanym” pojawiła się następująca notatka: „Wczym nie bardzo mądry” Dookoła świata wybiera się czterech Australijczyków. Dwóch będzie siedzieć w taczkach, druga dwójka — pchać. Zmiana zajęć co kilometr. Jedynie podczas podróży morskiej przewiduje się odpocznik. Notatka ta drukujemy z prawdziwą przyjemnością i zazdrością, z niekłamnym natomiast żalem zawiadamiamy czytelników o trwających blisko trzy miesiące staraniach o wize małżeństwa Przybylskich z Kutna, którzy postanowili odbyć podróż dookoła pustyni Gobi i Karakum i wizy tej do tej pory nie otrzymują na skutek ostrego sprzeciwu sekcji psychiatrycznej departamentu ruchu ograniczonego. Przybylscy umyśliłi sobie podróż kontynuować w wózku dziecięcym o jednym kole.

Najostrzejsze ołówki świata

HERLUF BIDSTRUP

albo

HISTORYJKI OBRAZKOWE

Myszę, że usłyszymy wkrótce więcej o karykaturze duńskiej; w ostatnich latach pojawiło się sporo nazwisk świetnie startujących, młodych humorystów (Hans Quist, Skaerbaek), którzy stają się sławni w całej Europie. Na razie jednak — poznajmy przedstawiciela starszego pokolenia rysowników duńskich. Trudno go nazwać nestorem — bo jeszcze nie przekroczył pięćdziesiątki — ale uważany jest jednogłośnie za najpopularniejszego humorystę swego kraju. Bidstrup ukończył jeszcze przed wojną kopenhaską Akademię Sztuki. Początkowo rysował dla prasy socjaldemokratycznej, szybko jednak, na skutek swej bezkompromisowej, antyfaszystowskiej postawy — popadł w konflikt z wydawcami. (Władze duńskie starały się unikać zatargów z hitleryzmem). Bidstrup wiąże się więc z komunistycznym pismem „Land og Folk”. Nie przerywa dzia-

łalności satyrycznej w okresie okupacji, jest aktywnym współpracownikiem prasy podziemnej.

Załączone rysunki, zgodnie z tradycją „najostrzejszych ołówków” — przedstawiają inne oblicze twórczości Bidstrupa — humor.

Ulubioną formą wypowiedzi Duńczyka jest historyjka obrazkowa. Charakterystyczną cechą Bidstrupa, w odróżnieniu od innych autorów uprawiających podobny gatunek — jest rozbudowywanie historyjek: to już niemal króciutkie filmy, ukazujące szczegółowo kolejne etapy zabawnego zdarzenia, uwiecznzonego zaskakującą pointą.

Tematy tych filmików dotyczą prawie zawsze spraw obyczajowych. Humor Bidstrupa jest pogodny, dowcip łatwo czytelny — rysownik unika żartów, opartych na absurdzie.

W Polsce twórczość Bidstrupa znamy niekiedy z licznych przedruków.

J. W.

ORATOR



PAN I WŁADCA



SŁODKI DZIDZIUS



RYWALE



gimna Styka na dobranoc

Należy przycisnąć lewe oko wielkim palcem lewej ręki, prawe oko wielkim palcem ręki prawej — potem wskazujący palec lewej ręki wetknąć w lewą dziurkę nosa, wskazujący palec prawej ręki w dziurkę prawą, pozostałe palce obu rąk oprzeć na wargach i wciągnąć powietrze w płuca przez lewą dziurkę i wypuszczać je przez prawą odemkniętą połowę ust, mając lewą silnie przykniętą, następnie wciągnąć powietrze przez lewą połowę ust, mając prawą zamkniętą, wypychać je przez prawą odemkniętą dziurkę w nosie zatkawszy lewą, na przemian odmykając i zamykając to prawe to lewe oko i napinając i zwalnając powłoki brzuszne. Ćwiczenie to należy powtarzać dopóty, póki nie usniemy i ponawiać je po każdorazowym obudzeniu. Nie męcząc to ćwiczenie wywiera ten sam swawolny skutek, co liczenie do siedemdziesięciu tysięcy baranów; nie zatrzuwa naszego systemu trawiennego, uspokaja system nerwowy, jest jednym z najpotężniejszych środków zapobiegających akumulacji trosk, wygładza zmarszczki, przeciwdziała wzrostowi ciśnienia i nadmieremu bujaniu starczych garbów.

(Przepis przysłała nam Czesława Szpinadel ze Starogardu Szczecińskiego, za co w imieniu własnym i czytelników, zamiast honorarium, przesyłamy jej serdeczne Bóg-zapłać).

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł
Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca
Prenumerata przysyła wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 — 6-579
z zaznaczeniem na „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17. Z. 2972 X. 58. M-4





DOKOŃCZENIE

ZE STR. 1

drzejewskiego? Czy stworzy on podwaliny polskiej szkoły filmowej? Zresztą kto wie w jakim stopniu odbiła się na jakości dzieła osobowość i talent jego twórców, a w jakim — charakter użytego tworzywa? Jednakowoż nie przeszkadza to w pełni zachwycać się osiągnięciem autorów inscenizacji i szczerze gratulować im sukcesu. Zapisuję więc, że w postaci „Popiołu i diamentu” przybyło kinematografii polskiej nowe, w pełni autentyczne dzieło. Być może — za rok, dwa, a może jeszcze później uda się nam ocenić z perspektywy czasu, czy nie jest to najlepszy film polski, jaki kiedykolwiek dotąd powstał w tym kraju.

„Popiół i diament” — to nie tylko objawienie w dziełach rodzimej sztuki filmowej, ale i dzieło, które zdradza tajemnicę Andrzeja Wajdy. Już w „Pokoleniu” dowiedli on swojej znajomości spraw współczesnego warsztatu — wykazał się świetną reżyserią. „Kanał” dał świadectwo prawdzie, iż reżyser umie nadać za nurtem aktualnej koniunktury, podobnie jak robiony w międzyczasie film o Dunikowskim obnażył jego skłonności ku patetycznej metaforsze i nawnemu nadrealizmowi. I trzeba było „Popiołu i diamentu”, żeby poprzednie cechy osobowości twórczej i rzemiosła Wajdy znalazły swoje potwierdzenie, ale zarazem — by wyszedł na jaw czynnik niedostatecznie brany przedtem pod uwagę: myśl o inteligencji reżysera.

Przede wszystkim — w dziedzinie produkowania dzieł sztuki filmowej — inteligencja jest wysoce użyteczna. Naprawdę. Podaje za nią określony sposób myślenia, zezwalający na stosowanie skrótów i rozsądnych uogólnień, wrażliwość plastyczną itp. Wajda posiadał tę właśnie nieomyślność, która tak umiata w „Popiole i diamentach”. Twórca mniej pewny siebie — zawahałby się przed zainscenizowaniem sceny, w której ginie Szczuka i historia polskiego kina nie zanotowałyby tej sekwencji. Przypominam: po strzałach zbrojca bierze w ramiona padającego Szczukę. Stoją przez chwilę, aż nagle niebo rozjaśnia się od wybuchających rakiet. To świętowany jest dzień zakończenia wojny. Szczuka osuwa się na ziemię. Leży obok kałuży, w której ląpa się błyski gasnących świateł. Mając na uwadze rytm, w jakim jest rozegrana ta scena i kontekst fabularny — w którym ta osadzono — trudno mówić o

najlepszych nawet wzorach. Jest to bowiem scena na wskroś oryginalna, zaczerpnięta nie z rekwizytorni kina, ale z jego magii. Ona jedna potrafiłaby zrobić z przeciętnego filmu — dzieło. A przecież jest w filmie Wajdy więcej scen — może nie tak udanych — zakrojonych na tę jednak miarę. Choćby zawiązanie akcji („Popiół i diament” jest zdaje się pierwszym polskim filmem, który ma klasycznie pomyślaną ekspozycję). Inna sprawa, że jej finał został trochę położony przez trzy ujęcia (ukazujące historię zamachowców) i zbyt — chyba deklaracyjność pierwszych słów, które słyszemy od Szczuki.

Trzeba w tym miejscu sięgnąć do pierwszego filmu (pełnometrażowego) Andrzeja Wajdy, do „Pokolenia”. Jest w tym obrazie scena, gdy chłopiec strzelający do niemieckiego oficera poczyną sobie podobnie jak teraz — w „Popiole i diamentach” — owi zabójcy robotników z cementowni. O ile jednak w „Pokoleniu” Wajda pokazywał kilkunastoletnich zamachowców przy ich pierwszej akcji, tu pokazuje ludzi, którzy mają za sobą doświadczenia wyntoszone z przebytego przez siebie powstania. Jest to więc dla nich zwykła robota, do której są przyuczeni, a nawet — nie mogą się od niej wyzwolić, czy po prostu — odzwyczaić. W tym przecież (a raczej także) leży dramat całej powieści, gdzie jeden i drugi bohater strzela w końcu już nie zawsze wiedząc dlaczego to robi i po co. Słowem finał, ukazujący panikę, która wieńczy moment zamachu — przeczy jasności wywodu. Ilustruje bowiem dyskusyjną tezę zakładającą na początku fanfaronadę a

potem strach. Tu właśnie mniejszy był jakby udział pozafilmowego myślenia, a zaważyło coś na kształt i podobieństwo efektywnego schematu. Bo co do inteligencji — to objawiła się ona przede wszystkim gdzie indziej.

Oto na bankiet — wśród zaproszonych gości — przychodzą także oficerowie ra-

EDWARD ETLAR

PO- PIOŁ i DIA- MENT

dzleccy, dostojnicy miejscowej władzy z ramienia wojska. Za chwilę zaczyna się narodowa uroczystość z klasyczną bibką przy popielawie i udziałem gaśnicy. Między rozbawionymi uczestnikami libacji widać ministra, ale... zniknęli gdzieś goście z komendy miasta. Gdzie oni są? Kiedy wyszli? Aha, to reżyser w samą porę przypo-

mniał sobie, że robi film z zaangażowanymi i pozabawili nas ryzykownych widowisk.

Porównując „Popiół i diament” z najlepszymi filmami, które w tym roku widziałem. Przychodzi mi na myśl „Most na rzece Kwai”. Z tego filmu wychodzi się w podobnym nastroju (ile jest takich obrazów?) — chociaż jego ostatnim ujęciem jest total, a nie zbliżenie umiatającego człowieka. Ale „Most na rzece Kwai” — mimo całej kubaślowej profotechniki — w sumie wyżyty jest jednak z drobnego, efektystwa, które psuje niejedną kapitalną sekwencję „Popiołu i diamentu”. Przypominam scenę w kościele. Nie wymawiam tekstu Norwida (wyrzytego na murze). Podobno mi się pomyśl z dokonaniem wiersza przez cytowanie go z pamięci, co przywodzi na myśl podobną scenę z filmu Johna Forda „Miasto bezprawia”. Ale za chwilę Maciek i jego dziewczyna idąc przez kościelną nawę dochodzą do krucyfiksu wiszącego do góry nogami. Abstrahując od efektywności (dźwiękowo i operatorko) pomysłu — denerwuje jednak wykorzystanie tegoż pomysłu do ostatka, owo umieszczenie krzyża w centrum kompozycji i przytrzymanie go do końca w kadrze. Diabli wiedzą, czy najciekawszą sztuką nie jest pokazywanie najlepszych rze-

musł opinie wręcz entuzjastyczne (nawet przy wyłożeniu mniej lub bardziej istotnych zastrzeżeń) tak wybitny filozoficzny i jego obrazu musi do zastanowienia. „Popiół i diament” — jest jak wspomniany filmem zaangażowanym. Nawet dosyć żartowicie. Ukazuje zresztą nie dete tezy ale możliwość obiektywny obraz sytuacji, przy czym wyjątkowo wniosków odbywa się przy udziale widowni. Skala tendencji tego filmu — także jest uchwalana przez odbiorcę. Cokolwiek bowiem by sobie widz nie pomyślał — wszystko dzieje się w nim w obrazie jak w mitycznym worku bez dna. Wszystko ma tu swój pretekst albo przynajmniej zawiązanie w czystych przemileniach i nie-dopowiedzeniach.

Uderza w filmie Wajdy niesiona przez dialog i sytuację dramatyczną owa teza o nieprzekonaniu psychicznym i nieomal bezideowości walczących, o ich osobistym votum separatum. Czy tak było? Przecież niezależnie od oblicza politycznego tych racji — a co za tym idzie — naszego do nich stosunku — jakoś one jednak wyglądały. Krótko mówiąc coś się tym ludziom nie podobowało w ustroju ludowej władzy jeśli przeciw niej walczyli. Pytanie, które pada w filmie (czy na taką Polskę czekałeś?) zaznacza te sytuacje wyraźnie, ale jej nie wyjaśnia. Co bardziej doświadczony widz dostrzeże też zagadnienie zaznaczone w innym fragmencie obrazu, gdy bohaterowie mówią o kompromitującej ich ankiecie personalnej. „Jedynie drzwi, które stoją przed panem otworem, to drzwi więzienia”. Porucznik, idący do lasu, żeby objąć dowództwo oddziału „Wilka” bynajmniej nie jest przekonany o sensie swojej misji. Nie wiem, w jakim stopniu jest on postacią typową, a w jakim tylko wyraża on założenia zręcznej — bo skądinąd ujmującej — fikcji literackiej. Jedno z dwojga. Albo porucznik idzie do lasu, gdyż czekał na inną Polskę, niż ta, która do niego przyszła, albo idzie tam — gdyż usłuchał rozkazu. W każdym razie przyznam się, iż użycie drugiego założenia uważam za dość ryzykowne i na pewno problematyczne. Mogło się tu znaleźć zaznaczone jako rozczarowanie. Oto młodzi ludzie którzy (prześnili już swój sen o szpadzie) widzą, że ktoś inny dzierży w swoim ręku władzę, że nie oni celebrować pierwsze chwile wolności, że nie oni — w dniu ostatecznego zwycięstwa — są przedmiotem ogólnego podziwu i kultu, choć przeciwie walczyli z wrogiem. Może w jakimś indywidualnym wypadku zajęcie ich pozycji jest aktem rozpaczki? Aktem u którego podstaw legł żal? Żal, że nikt im nie przypina orderów, że żadna honorowa salwa nie uczył ich kolegów, którzy także padli? Tamty tylko oni mogą zapalić spirytusowe znicze w kieliszkach, zapomnianych przez tych, którzy słuchają „Czerwonych maków”.

Tego rozgoryczenia nie wytknieta palcem. To dobre. Ale nie ukazano także jego konsekwencji. I to już źle. Tutaj właśnie zawiązuje się jakieś niepowodzenie racji filozoficznych obrazu.

Rzecz jasna, chodzi mi o moment prywatnych przekonań noszonych przez ludzi z tamtej strony barykady. O powód ich decyzji. W czasach, gdy historia losu tyśięcy znaczyła mało, a historia losu jednostki — jeszcze mniej, decyzja taka musiała mieć pewne podstawy.

Był w swoim czasie komieczny film produkcji amerykańskiej „Jesse James”. Bohater walczył na początku o swoje piękne ideały przeciw obowiązującym prawom, a z czasem, niezależnie od swej woli staczał się na drogę pospolitego bandytyzmu. Taka konstrukcja losów jednostki może prowadzić do uproszczenia, ale może także

zamykać w sobie jakąś zasadniczą prawdę, bywają i takie paradoksy życia. Szlachetny bohater kowbojskiego romansu ginał ku żalowi widowni. Działo się to w ostatnim kadrze, na chwilę przed rozpoczęciem przezeń innej drogi. Nazywa się to zapłatą za grzechy albo spełnieniem losu.

Nawet śmierć Macieka jest takim uproszczeniem. Następuje w wyniku zupełnego przypadku. Pozwala ominąć kwestie stosunku twórcy do jego bohatera, pominać moralną klasyfikację jego czynów. Na zasadzie paraleli przycięty tu można śmieleć pik. Nicholsona z filmu „Most na rzece Kwai”. Co by z nim począł, gdyby nie zginął? Wybudował most dla strategicznego użytku wroga, a potem o mało nie udaremnił wypadu komandosów... Kino zawsze zabija swich bohaterów gdy nie potrafi rozwikłać komplikacji ich losu.



A teraz wróćmy do problemu zaangażowania. Film wyklada swoje racje nie tyle z nerwem co z dużym ładunkiem wzruszenia. Tworzy klimat — w którym sympatyczny jest każdy i młody bohater. Nawet ów chłopak, który wyprowadzony z lasu zabrania nazywać swój oddział bandą. Słowem film nie potrafi obejść się bez czynnika uzupelniającego, jakim jest rozeznanie w sytuacji, która legła u podstaw jego anegdoty. Zakłada pewne zasady i przyjmujemy je na słowo. Zabójstwo jest spełnieniem fatum, fatum którego kształt ma cechy ponadrzeczywiste i pozarealne.

Mogę po raz trzeci — korystając z pobłażliwości łaskawego Czytelnika — powtórzyć z jednakim uporem o „zaangażowaniu” tego filmu. Czy jednakowoż zgadza się to z prawdą?

„Popiół i diament” jest filmem zaangażowanym. Nie tworzy jednak mitu o „zapłutych karłach”. To bardzo dobrze. Kto wie czy nie tworzyłby tego mitu, gdyby o kilka lat wcześniej znalazł się on w kształcie opowieści filmowej? A więc „Popiół i diament” nie buduje osławionego mitu, ale go też nie zwalcza. Jest filmem zaangażowanym nie tyle politycznie, ile tylko emocjonalnie. Pokazuje sympatycznego chłopca, który w dżinsach i czuprynie ostrzyżonej na jeża — wyglądał swym reprezentuje pokolenie dzisiejsze, losem — tragedię wczorajszego dnia, a działaniem — sprawę od początku przegraną. Jeden dzień, jedna noc, jeden świt, który po niej następuje. Oto scena dramatu, którego ramy sięgają szerzej. Nie odbiegamy jednak zbyt daleko od chłopca, którego smutne dzieje wstrząsają dzisiejszą widownią. Jest on jednakowoż dzieckiem zaginionym w mgłę niejasnych dłań problemów. Pytanie, w jakim stopniu postać ta pełni funkcje reprezentatywne — nie znalazło wytłumaczenia w filmie Wajdy. A może takiego wytłumaczenia nie ma?

*) Warto nadmienić, że Watykan przywykł nagradzać filmy antyreligijne, o ile są one w jakimś stopniu niejasne i niedopowiedziane do końca. Fakt akceptacji czyni wtedy cuda i niejako zmienia sens obrazu. Hm...

